Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 30. Poznań, dnia 26. Lipca. **1841.**

Literatura zagraniczna.

Die Deutschen und die Nachbarstämme,
von
KASPAR ZEUSS.
München, bei Lentner.

(Dokończenie.)

Obok Dragowiczanów wspomina pomieniona legenda Sagudatów. Tych samych i w téj saméj okolicy w pobliżu Tessaloniki podaje także Jan Comeniata piszący o upadku tego miasta *(Script. post Theoph. ed. Par. p.* 322.*)* Prowincya, którą zamieszkiwali, miała osobnego biskupa swojego, według opisu biskupów greckich, i stolicą jego była Sugdaja, policzona pomiędzy stolicami biskupstw leżącemi na zachód Konstantynopola. Ponieważ w te same okolice trafiają stolice biskupstw należących do patryarchatu konstantynopolitańskiego, wyliczone przez Teodora Balsamona, a między niémi znajduje się stolica biskupia Subdalia albo Sugdalia, widać, że Sagudaci byli to Sugdale, czyli znani w dziejach ruskich Suzdale. Wiadomo, czego autor nasz nie przytacza, że jeden z książąt panujących kolo Suzdalu, Andrzéj Bogolubski, założył stolicę w Włodzimierzu nad rz. Klazmą, ogłosił się wielkim kniaziem, złupił Kijów 1169., i dał początek Rusi wschodniéj. O tym samym czasie (1164.) Leon, biskup Suzdalu, wniósł pierwszy schizmę, nieprzyjmującą się na Rusi. — O tym samym Suzdalu wspomina widać Konstantyn Porphyrogenita *(de caerim. aulae Byz. ed. Bonn. p.* 634.*)*: »Michał cesarz przyjął Słowian żyjących bezładnie w krainie Subdelicyi, to udających się w góry, to znowu poddających się pod najwyższe i jedynowładne rządy cesarskie.«

Następnie jest mowa o innych trzech pokoleniach słowiańskich, które powyższa legenda przytacza. Bueus dał z pomienionéj legendy wyciąg łaciński *(p.*176. *not.g.)*, z którego się pokazuje, że Βελεγεζῆται mieszkali najdaléj na południe w Tessalii, w okolicy miast *Demetrias* i *Thebae*. Od nich to w czasie oblężenia Tessaloniki przez Słowian, brali oblężeńcy żywność. Nazwę samą uważa Zeuss, jako wyraz złożony, nie umiejąc jednak zdać sobie sprawy, coby znaczyła druga część wyrazu. Jako nazwisko męzkie u Antów przytacza z Agathiasza 3., 6. 21. Δαβραγέζας. Gockie gaiz, prasłowiańskie giez, co w innych narzeczach zamieniło się na zhez, u Slawonów zhesl (kij, rózga), mają objaśnić obie poprzednie nazwy, któreby zatém po słowiańsku brzmiały Welezheziczanie, Dobrozhez.

Czwartém z porządku pokoleniem są Βαιουνῆται, których Zeuss kładzie w sąsiedztwie pokolenia poprzedniego. Domysł autora, czyby to nie byli słowiańscy mieszkańcy Beocyi, Bojunici zamiast Beoci przezwani, dla tego, że Słowianie obce nazwy według słowiańskiéj etymologii wymawiali, jest hipotezą niczém nie popartą. Podobniejsze do prawdy, co autor w przypisku poprzedném (str. 632.) powiada, że pierwiastkiem téj nazwy jest boj = wój = wojna. Bojunici znaczyłoby zatém wojowników. Czyby w téj nazwie nie widzieć raczéj Wołyńców? Przynajmniéj podobniejsi na to, niżeli Ultyni Porphyrogenitowi, których Naruszewicz (2. 191.) mianuje być Wołyńcami.

Bardziéj ku górom mieli według Zeussa mieszkać Βερζῆται, ostatni z wymienionych w legendzie ludów słowiańskich. Nie wspomina o nich nic więcéj Tessalończyk. Ale namienia o nich w drugiéj połowie 8go wieku Theophanes, mówiąc, że król Bulgarów (za Konstantyna czatów) wysłał znaczne wojska na ujarzmienie Berzetów i przesiedlenie ich do Bulgaryi *(ed. par. p.* 376.*)*; na drugiém miejscu (str. 400.) powiada tenże autor, że Akameros rządca Słowian w Belzecyi, pobechtany od Greków, chciał wyprowadzić synów Konstantego (którzy trzymani byli w Atenach, i potém oślepieni zostali na rozkaz cesarzowy Ireny). — Zeuss pochodzenie Berzetów wyprowadza od słowiańskiego wierch (wierzch); u Nestora wierch Dwiny, Dniepra, znaczy kraj leżący w górze tych rzek. Wierszanie byliby zatém mieszkańcy górzystych okolic. Czyby to

nie raczéj byli Bełżanie, osiedli późniéj w województwie Bełzkiém, pomknieni w te strony, jak widać wszyscy Słowianie greccy, wyparci z tych okolic pomykali się ku północy. Domysł nasz potwierdzać się zdają przytoczone u Zeussa dwa miejsca z Theophanesa, gdzie raz kraina tego ludu zwie się Βερζητια, drugi raz Βελζητια; najwyraźniejsza poślaka, że w słowiańskiéj nazwie zachodziła litera *l*, którą Grek raz na *r*, drugi raz na *l* naginał.

Ze słów legendy *κὰι λοιπῶν ἐϑνῶν* widać jasno, że jéj autor wszystkich pokoleń słowiańskich w tych okolicach zamieszkałych nie wypowiedział. To też przytoczone tylekroć źródło *notitia Graecorum Episcopatuum* wymienia pomiędzy biskupami suffraganami tych stron trzech jeszcze biskupów w pokoleniach, jak się zdaje, słowiańskich, to jest: biskupa z Ezeru, biskupa Smolenów i biskupa Galazów, należących do metropolii Larissy w Tessalii, Filippi w Macedonii i Patrów w Helladzie. — Autor w Ezerach widzi mieszkańców jeziora, a nazwy Smolenów i Galazów odnosi do nazw Smoleńska i Galicyi, a raczéj Halicza.

Dowodem, że cała Beocya przez Słowian była zaludniona, są nazwy słowiańskie w téj prowincyi, które się utrzymały. Sławna góra Beotów Helikon wzięła nazwę Zagora, a równie głośne jezioro Kopais przezwane zostało Topolia od topol. Zdaje się, jak Zeuss także uważa, że Zagóra był właściwie kraj za Helikonem leżący. Zagorą albo Zagorią zwali Bulgarowie krainę Debeltus z drugiéj strony gór Haemus leżącą. Widać, że z krainy przeszła nazwa na górę samą. Aryan w swoim *Periplus* morza Czarnego wspomina także Zagorę (Ζάγωρα) nad rzeką Halys. Wyraz ten atoli pewno jest zepsuty zamiast Gazuron, i nie może być dowodem, by tam Słowianie mieli kiedyś swoje siedliska. (Gail. 3., 68., i 3., 152.)

O Słowianach w Peloponezie świadczy Konstantyn Porfyrogenita. Przytacza dwa nazwiska Słowian skrajnych, mieszkańców Mainy i okolic, i opisuje ich siedziby *(de adm. imp. c. 50.)*: „za panowania Michała, syna Teofila, był wysłany Theoklistos ... i wszystkich Słowian i resztę niepodległych ludów w Peloponezie podbił i ujarzmił. Sami tylko pozostali Jeziorni (Ἐζερῖται) i Milęgowie (Μιληγγοὶ) ku Lacedemonii i Helos. A ponieważ tam góra jest wielka i wysoka, zwana Pentadaktylos, i wchodzi w morze nakształt szyi o znacznym przedziale; z natury więc miejsca niedogodnego, zamieszkali boki téj saméj góry po jednéj części Milęgowie, po drugiéj Jeziorni. ... Trzeba wiedzieć, że mieszkańcy zamku Mainy nie są ze szczepu wyżéj wspomnionych Słowian, ale pochodzą od dawniejszych Rzymian, którzy dotąd od krajowców Hellenami się nazywają. Miejsce zaś, w którym mieszkają, jest suche, niedostępne, rodzące jednak drzewa oliwne, co im ulgę przynosi; leży zaś miejsce to na przylądku Malaja, to jest od Ezeru do nadmorza.«

Helos, nazwisko miasta, znaczy właściwie bagno, wodę bagnistą, tego więc tłómaczeniem jest Ezeron słowiańskie jezero, ocero. Owi Ezeryci czyli Jezierni są zatém mieszkańce wschodniego grzbietu Taygetu i bagnistych nizin po nad Eurotem. Nietrafne jest autora wyprowadzenie Milęgów od mlieg, mlieko. Trudno wszakże trafić na podobniejsze pochodzenie ich nazwiska.

Nazwy innych plemion słowiańskich po Peloponezie zaginęły; Fallmerayer uważa ich zabytki w pozostałych nazwach okolic, jako to Opsinochoria, Wardunochoria, Wrustochoria i t. p. Siedziby ich rozciągały się nie tylko do przylądku Taenarum, po któréj to stronie zostały się ślady w Chelmos (potężna góra na północnym brzegu wyniosłości Peloponezu, ze sławiańskiego chlm, cholm, to samo, co góra, ztąd tak częste Chełmna, Kulmy po Słowiańszczyznie) w Goritza (po nad Tripolitra, słow. Gorzyce, co Niemcy przechrzcili na Görz, Łacinnicy i Greby na *Gorizia*) i t. p., ale rozciągały się i z drugiéj strony aż do brzegów morskich, jak to poświadczają miejsca nadbrzeżne słowiańskie w północno-zachodniéj stronie Peloponezu: Kamenitza, Klemutzi, Gastuni. Nazwa Kamenicy od kamień, gęsta jest po słowiańszczyznie w Czechach Kamenice pod Taborem, Kamieniec podolski, Kamienica w Wielko-Polsce i t. p. Klemutzi znać są Chełmice, Kulmitz po niemieckiéj słowiańszczyznie, tego samego pierwiastka, co Chełmno, jeżeli nie jest zesławiańszczeniem dawnéj nazwy przedgórza tego Chelonates, jak się Zeuss domyśla. Gastuni porównywa Zeuss z Gostyniem, w Poznańskiém z Gostyninem, w Mazowszu Gast; gość jest czysto słowiański pierwiastek.

Mimo więc klęski, jaką ponieśli Słowianie przed bramami Patras, rozciągało się wszelako ich panowanie po całym Peloponezie, i tylko po górach kryli się dawni tego kraju mieszkańcy.

O Słowianach, którzy według wypisywacza Strabona, Epir zajęli, nie ma żadnéj inąd wzmianki. Na wschodnich górach pogranicznych ku Tessalii wspominają Wlachów czyli Wołochów, o których Chalkokondylas powiada, że mówią tym samym językiem, co Dakowie nad Dunajem. Musieli zatém wraz ze Słowianami przybyć w te okolice. Nestor utrzymuje, że ruszenie się Walachów sprawiło ruch Słowian od Dunaju ku północy. Gdyby można dać wiarę podaniu kroni-

karza ruskiego zdawałoby się, że dawni rzymscy mieszkańcy Dacyi, Wołochy, biorąc udział w wędrówce narodów, ruszyły z posad Wendów, i jedni z nich pomknęli się ku Grecyi, inni w kraje niemieckie na północ-zachód. Zdaje się jednak, że i Chrowaci i Serbowie od gór trackich zeszli do Grecyi. Dowodzą tego nazwiska Servitza przy Olympie, Servianika w Peloponezie, Strobitza tamże. Dowodzi także powieść Nestora (3., 183.), który pisze: że cesarz Michał, proszony od Morawców, ażeby im przysłał nauczycieli ewangelii, dowiedził się, że w Tessalonice (w Macedonii) jest mąż pewien, mający dwóch synów, Methodiusza i Konstantyna (Cyrylla), którzy umieją po słowiańsku. Wiadomo zaś, że tłómaczenie pisma Św. przez Cyrylla jest pisane w dyalekcie wschodnich Sławian.

Tyle o Słowianach greckich. Badania ważne i ciekawe, lubo więcéj ulotne, dla tego, że główną częścią dzieła i najbardziéj opracowaną stanowią plemiona niemieckie.

Literatura krajowa.

Poezya.

Do Kazimierza Brodzińskiego.

Duma żalu.

Patria nec ossa mea habes.

O wieszczu z ducha i ze krwi słowiańskiéj!
Tęschny a miły, rzewliwy, ojczysty!
Lubéj prostoty, słodyczy niebiańskiéj,
Cichy jak ponik aż do dna przejrzysty:
Spocząłeś przecie po znojach żywota,
Śmierć skołysała na zimnym Cię łonie,
A duch się wybił pod wieczności wrota
Po swoją chwałę w męczeńskiéj koronie.
Przebrnąłeś życie to, we krwi i pocie,
Goniąc za szczęścia ubłogosławieniem;
W znojnych zawodach hartując się w cnocie
Nie mogłeś przecie się rozstać z stęschnieniem,
Nie mogłeś miru wyżebrać tu sobie,
Ani gdzie wytchnąć myślom ubłądzonym,
Pusto ci było niby w jakim grobie
I tęschno w sercu Twoim owdowionym.
Teraz oddychasz w światłości ojczyznie
A jeśli duch Twój nad ziemią żegluje,
To pewnie naszéj użala się bliźnie
Albo przyszłością wielką się raduje.
I błogosławi zapewnie gorąco
Téj Polsce matce, którą tak miłował,
Dla któréj boleść przecierpiał palącą,
A myśli swoje jéj zabalsamował.
My bracia śmiercią Twoją zubożeni,
Łamiemy ręce i płaczem tu kołem
Niby sieroty, albo owdowieni,
Jedną tęschnicą powiązani społem.
Tyś był zwiastunem wieszczów Messyasza,
Ty naprzód orła pod niebem dojrzałeś,
Przy Tobie młodzież pomężniała nasza,
A chrztu wodami jéj umy oblałeś.
Pieśń Twoja hoża, jak błękit ojczysty,
Skromna i błoga, jak lacka przyroda,
Nie burzy lic jéj ogień porywisty,
A czerstwa, świeża, jak wieśniaczka, młoda.
Dziś Twoja dusza śpiewaku wzleciała
Z ostatnim tonem anielskiéj piosenki,
Rzewną melodyą się w niebie rozlała
Niby w konaniu topniejące dźwięki. —
Leżysz wśród obcych — ani Twoich kości,
Ani relikwii nie mamy po Tobie,
Ani ojczyzna téj ulgi w żałości,
Żeby Cię mogła ugościć w Twym grobie.
Wśród ziomków miléj by zwłoki Twe spały,
Kwiatki by na nich rozkwitły rodzinne,
Polskie by pszczółki słodycze z nich ssały,
A wianki, dziewcze splatało niewinne.
Wierzba by z grobu strzeliła płacząca
I rosła bujnie zwisłemi ramiony
Niby kochanka po lubym tęschniąca:
Na niéj kukułki by żalem kukały,
Skowronek pieśń swą wydzwaniał zbudzony,
A wiejskie śpiewki z pobliża ci brzmiały.

Wspomnienie o Bartłomieju Głowackim.

Héj, tam w karczmie za stołem
Siadł przy dzbanie Jan stary,
Otoczyli go kołem,
On tak mówił do wiary:

»Ja mówiłem już nieraz,
»Że dziś zuchów już mało,
»Biada bracia! źle teraz
»Dawniéj lepiéj bywało.

»Za mych czasów to słynął,
»Kum, Bartłomiéj Głowacki,
»Od nieprzyjaciół zginął,
»O, to krakus był gracki!

»Bo czy w karczmie, czy w domu,
»Czy to taniec, wesele,
»Nie dał bruździć nikomu,
»Wszędzie sam był na czele.

»Jak na wojnę zwołali
»Wiarę z naszych powiatów,
»A myśmy dobrze bili
»Bez pomocy magnatów,

»Po szeregach jaśniały
»Karazeje, czapeczki,
»Do każdego się śmiały,
»Kieby łanie, dziewczeki

»To Bartosz nad wszystkiemi
»Jaśniał jak dąb wspaniały,
»Bo w krakowskiéj też ziemi
»Nikt nie dorosł mu chwały.

»Raz, pamiętam, z wieczora
»W Racławicach stojemy —
»Wtém coś mija z za bora,
»Nieprzyjaciół widziemy.

»Jak Kościuszko ich zoczył,
»Kazał bębnić na bitwę —
»Wtém Głowacki poskoczył,
»A miał kosę jak brzytwę;

»Jak wziął machać, wywijać,
»My też obces na wrogi,
»Daléj ranić, zabijać,
»Nieprzyjaciel, het w nogi.

»Het, przez bory, przepaści
»Uciekali jak wściekli;
»Myśmy armat dwanaście
»Do wodza przywlekli.

»Jak się zeszli wodzowie,
»Bartosza przywołali,
»I pili jego zdrowie,
»I serdecznie ściskali.

»Ja mówiłem wam nieraz,
»Że dziś zuchów już mało,
»Wiara, bracia, źle teraz!
»Dawniéj lepiéj bywało.« —

Gdy to wyrzekł Jan stary,
Zapał w oczach mu błysnął,
Wspomniał sobie wiek jary,
Broń swą starą uścisnął.

Wystawa obrazów w Poznaniu.

(Dalszy ciąg.)

Spytasz mię n. p., dla czego zimowy krajobraz p. Johna taką mgłą powleczony, taki ponury i smutny? — odpowiem: bo w duszy malarza było ponuro i smutno; — ale kiedy mnie spytasz, dla czego w obrazie p. Meyera twarz leżącéj na łożu kobiety tak jest martwa, blada i sina, — a twarz siedzącéj obok zakonnicy, jakkolwiek czerstwa, przecież nie wesoła? — odpowiem: bo jedna umiera, a druga na śmierć patrzy.

Treść każda ma odpowiednią swą formę; i tak w podmiotowym krajobrazie nie obejdzie się bez podmiotowéj maniery; w obrazach historycznych być jéj nie powinno.

Nie wiem, czy się jasno tłómaczę, i czy się każden zgodzi na tę charakterystykę krajobrazu; w historyi więc jeszcze jego, szukajmy dalszych dowodów na to, co się dotąd rzekło. Tam zobaczemy, że w miarę wyzwalającéj się indywidualności człowieka, występował coraz samodzielniéj i krajobraz. W początkach był on niejako tylko tłem malarstwa historycznego. Kiedy bowiem to malarstwo wracać poczęło na zachodzie, a zwłaszcza we Włoszech, od wschodnio-bizantyńskiéj mumii na łono matki natury; wtedy kunsztmistrz brał sobie za przedmiot materyał, który sama już przyroda najdoskonalszym stworzyła. Człowiek na podobieństwo Boga stworzony i Bogu najbliższy, był tym przedmiotem; malowano świętych, a malowano ich w pewnym rodzaju ramek, do kaplic podobnych, dla tego zapewne, że takie obrazy do kościołów były przeznaczone. Późniéj dopiero stawiano najdoskonalsze dzieło Boga obok reszty jego tworów; na przodzie figury, z tyłu skały, drzewa, wodospady — po nad niemi błękit niebieski; główną jednakże rolę grał człowiek, przyroda była tylko sceneryą, teatrem. (Giotto 1276., Orgagna.) Z czasem przyroda ta coraz to silniéj występuje w obrazach, jak gdyby negacya człowieka, który się od niéj coraz to więcéj odrywa. Malują pustelnie dzikie i groźne; w nich skały coraz wyżéj się wznoszą, wzrastają drzewa, mnoży się rozmaitość wegetacyi, a w miarę tego człowiek maleje. (Mucian) Krajobraz przecież jeszcze dalekim jest od samodzielnéj indywidualności — jeden charakter cechuje prawie wszystkie, charakter męzki; a największa rozmaitość zapycha się w nie. — Krajobraz chce niejako całość natury ogarnąć, niby epos przyrody. Ze szczytu skał wysokich, po których skaczą dzikie kozy i sarny, toczy się jeden wodospad na drugi i szumi przez urwiska i lasy; nie z rzadka widać nad nim młyn wodny; poniżéj świeża dolina, cichy ją strumień przeżyna, w którym widać rybki pływające; daléj z boku miasto ponad morzem, a na morzu okrętów mnóstwo, a na okrętach mnóstwo majtków; z drugiéj strony las rzadki, na gołoborzu żerują jelenie, sarny, zające, — na drzewach siedzi ptastwo wszelkiego rodzaju — daléj psów zgraja i myśliwska drużyna; jedném słowem chaos, w którym ani szyku, ani ładu, w którym nic jeszcze nie ma swego własnego, odrębnego przeznaczenia. (Momper, Savery, Izaac Major, a nawet Tician, Dürer i Leonardo da Vinci.)

Wszędzie jeszcze aż dotąd natura imponuje człowiekowi; widzi on jéj ogrom, jéj wspaniałość i wielkość, i opanować jéj nie umie; przyroda nie osiągnęła jeszcze w piersiach artysty całkowitego uznania się, zupełnéj samowiedzy; uważa on ją jako przedmiot, zdejmuje kopie — zestawia obok siebie najpotężniejsze jéj

twory, a nie mogąc w każden jéj szczegół wlać ducha własnego, stara się rozmaitością i zewnętrznem bogactwem zachwycić patrzących.

Dopiero Giorgione i Hannibal Caracci poczęli krajobraz idealizować i pierwsi go na stopień samodzielności podnieśli; zbywa przecież ich tworom jeszcze na prostocie, a przeważa w nich dekoracya. Paweł Bril złagodził surowy aż dotąd charakter krajobrazu i nadał mu wybitniejszą fizyognomią miejsca i czasu. Mikołaj Poussin i Klaudyusz Lorrain, żyjący w wieku XVII., do wyraźniejszéj go jeszcze indywidualności podnieśli; prócz miejsca i czasu podchwycali oni nawet i atmosferę, a malowali nie dla samego oka tylko, ale dla wszystkich zmysłów człowieka; tu i ucho ma dosłyszeć szmer liści, mruczenie strumyka — i powonienie ma poczuć woń kwiatów i wzrok ma się zachwycić połyskiem brylantowéj rosy. Jest już w ich obrazach dużo uczucia i duszy (co Niemiec nazywa Gemüth), lecz przeważa w nich jeszcze imaginacya; ona to stworzyła te czarodziejskie doliny otoczone skałami, ocienione rozłożystemi drzewy i zaludniła je jakimś nieznanym już dzisiaj na ziemi rodem półbogów. Trzeba bowiem wiedzieć, że aż dotąd nie mógł się krajobraz obejść bez człowieka — był zawdy niejako krajobrazem historycznym, czyli tak zwanym bohatérskim.

Późniéj dopiero, kiedy dramatowi odjęto koturny i maski, a przyodziano go w konwencyonalną suknię powszednią; kiedy w liryce przestano pisać szumne ody do przeszłości, do sławy, do gwiazd i do słońca, a puszczono się czystym strumieniem poezyi, który nie myślą z głowy, ale rzewnem uczuciem płynie z głębi serca; wtedy się i krajobraz zbył heroicznego charakteru. — Nowy kierunek romantyczny w literaturze objawił się i w malarstwie — skromność szaty zewnętrznéj a wewnętrzne bogactwo treści. Jako zaś w nowszéj literaturze niemieckiéj liryka górę wzięła, tak w malarstwie krajobraz, w którym odtąd uczucie przeważa. A że uczucie zawdy jest względne, indywidualne — dla tego też krajobraz nosi na sobie tę cechę indywidualności, która się w wykonaniu manierą zowie.

To pokrewieństwo krajobrazu z liryką wytłómaczy nam zapewne, dla czego sentymentalni Niemcy, których indywidualność w języku nawet wskazał pan Libelt, tak gorliwie i wyłącznie prawie zajmują się dzisiaj krajobrazami. — Tegoroczna wystawa składa się z 440 obrazów, pomiędzy témi jest 200 krajobrazów, po większéj części ze szkoły dysseldorfskiéj. Do najpiękniejszych policzyć można następujące:

1) Widok Neapolu, p. Perrot. Z przodu na szczątki jakiejś klassycznéj, pogańskiéj świątyni; na kilka pozostałych kolumn rzuciła prostota, owa *sancta simplicitas* Hussa, nieco gałęzi i chrostu i zrobiła rodzaj szałasu, pod którym włoszki tańcem się bawią. Na lewo las ciemny — do niego wchodzi dwóch mnichów, uciekających niby przed marnościami tego świata, a dumających o znikomości rzeczy ziemskich; tu świątynię potężnych Bogów pogańskich, przed któremi dumny Rzymianin się korzył, dziś lekkomyślna stopa niewiadomości znieważa, a tam las ciemny i ponury, niby przyszłość niepewna a daleka. Jest to najpiękniejsza część obrazu. — Z dala widać Neapol — ten kawał nieba, który upadł na ziemię, to Eldorado szczęśliwe, o którém powiedziano: »*Vedi Neapoli e poi muori!*« Za nim wznoszą się wzgórza Ottojańskie, po nad któremi panuje groźny Wezuwiusz. — W całym tym obrazie jest wiele harmonii i wdzięku; szkoda tylko, że koloryt cokolwiek za zimny; gdyby się światło i ciepło przelało nań z Canzonetty Butterwecka, zyskałby na tém niesłychanie.

2) Krajobraz leśny po burzy, p. Völker. Widać w nim znużenie i wypoczynek. Jakaś świeżość, jakiś chłód rozkoszny przewiewa pomiędzy temi dębami, z których lśniącego liścia znać deszcz rzęsisty, który tu padał przed chwilą; mały strumyczyk leśny toruje sobie nowe łoże przez zarośla i wrzosy — a ginąca w głębi kręta dróżyna, przypomina ten czterowiersz Mickiewicza:

Nie jeździł w te szlaki
Nikt z dawnego czasu,
Chyba wieśniak jaki
Po drzewo do lasu.

3) Krajobraz zimowy, p. Wagner. Jeśli w nim mniéj widzimy życia wewnętrznego, jak w poprzednich, przypisać to należy przedmiotowi. Zimno, jest negacyą wszelkiego życia; również kolor biały, jako przyrodzony kolor zimna, jest negacyą wszystkich kolorów żywych;*) a przecież umiał z nim p. Wagner pogodzić i najżywsze, i umiał tą harmonią złagodzić przeciwną słabemu wzrokowi białość śniegu, umiał jednostajności tego koloru nadać rozmaitość zgrupowaniem osób, sanny używających. Szczególniéj zwracam uwagę znawców na śmiały rzut pędzla, którym artysta niebo swoje tak genialnie zachmurzył.

4) Przystań morska pod Udewallą w Szwecyi, p. Achenbacha. — Prawdziwa ojczyzna Odyna i Thora, dzikich skał massa — a jak piosnka nasza powiada: kamień na kamieniu, na kamieniu kamień, a na

*) Dla tego mądrze uważają kolor biały za symbol niewinności, która jeszcze nie żyła, nie poznała życia; ztąd młoda dziewica najpiękniejsza w białéj sukni, a najśmieszniejsza podeszła w wieku matrona.

tym kamieniu kamień na kamieniu; za tą martwą, nieruchomą naturą widać morze wiecznie wzruszone, morze nieśmiertelne, potężne, niby lud milionów; nad niém niebo ponure i groźne, niby oblicze tyrana.

5) Grecka okolica, Rottmana; w tym samym rodzaju, co przystań, skalista, niepłodna — jest to matka bez dzieci.

6) Zwracam uwagę miłośników skromnéj piękności na maleńki krajobrazek p. Roqueplan z Paryża. — Nic masz w nim nic więcéj, tylko mały jakiś szałas na prawo, kilka drzew na lewo, niebo i ziemia; a przecież nie znam piękności, któraby z mniejszą pretensyą więcéj się mogła podobać. Zadziwia nas ta prostota pomysłu i wykonania tém bardziéj, że znamy charakter nowszego francuzkiego krajobrazu, obrachowanego na efekt. Tam zwykle tło ciemne, a jaskrawy przód obrazu, noc w pół ciemna, albo burza gwałtowna — chwiejące się drzewa, tak dziwacznie pokoszlawione, jak gdyby w dzikiéj rozpaczy same z korzenia wyrwać się chciała: oto charakter tych krajobrazów.*) W tym samym rodzaju, co pana Roqueplan, znajduje się na naszéj wystawie drugi krajobraz francuzki:

7) Farbiernia p. Wateleta. Żartowali Francuzi z tego sławnego krajobrazisty, że zawsze maluje wodę przy młynie, albo młyn przy wodzie; — prawda, — i tą razą widzimy strumień toczący się na młyńskie koło, zapieniony, szumiący. Ależ jakaż to różnica między jednym a drugim młynem Wateleta. Widziałem dotąd trzy jego obrazy, a każdy inny, a każdy doskonały. W pierwszym widziałem deszcz padający rzęsisto i czułem prawie wilgoć atmosfery; w drugim widziałem wiatr poruszający gałęzie drzew, podmuchający pierze drapieżnego ptaka, który się szponami uczepił konaru, i uczułem dreszcz, przechodzący mrówiem po ciele; w trzecim widziałem o jesiennéj porze opadające liście, wpół żółte, na pół czerwone, igrające i drgające i wirujące w powietrzu wraz z piaskiem, który się w ostrosłóp podniósł do góry. Nie wiem, czy można delikatniejszą grę atmosfery, prawdziwszą fizyognomią nieba pochwycić, a pochwyciwszy, czy ją można delikatniéj i prawdziwiéj oddać. — Farbiernia mniéj ma wybitnego charaktteru, sądzą nawet niektórzy, że jest kopią tylko podług Wateleta; w przejrzystości jednakże wody i w delikatnéj piance znać pędzel samego mistrza.

Z krajobrazu wywinęło się tak samo malarstwo sielskie, jak sielanka z liryki; i będzie to malarstwo tém większe robiło postępy, im więcéj człowiek w czasach kunsztownéj cywilizacyi tęschnić będzie do prostoty pierwszych wieków pasterskich. Na naszéj wystawie znajduje się kilka tego rodzaju obrazów pana Osterhoudt; najpiękniejszym jednakże ze wszystkich jest mały obrazek p. Lecomte. Świeżość i prostota pomysłu — a wdzięk i siła wykonania, przypominają bardzo owe szczęśliwe dla malarstwa czasy, w których żyli Mikołaj Berghem, Paweł Potter etc.

Inną pokrewną odnogą krajobrazów są widoki morskie. Ojczyzną tego rodzaju jest Hollandya, tak jak morze jest drugą ojszyzną Hollendra; najlepiéj on może rozumie ten żywioł, któremu zawdzięcza swoją zamożność i swoje bogactwa. Krajobraz morski wystąpił dopiero w wieku 17go samodzielnie; najlepszym malarzem ciszy morskiéj był na ów czas Jan van de Capelle, a burzy Bonawentura Peters; wszystkich jednakże przewyższył Ludolf Backhujsen (1631.) Dziś jeszcze Hollendrzy celują w tym rodzaju; pan Jan Szottel, niedawno zmarło, odziedziczył całą głębokość i całą znajomość natury morskiéj Backhujsena, cały wdzięk kolorytu po Wilhelmie van der Velde. Na naszą wystawę przysłał najlepszy krajobraz morski p. Grabau — jest w téj wodzie wiele przejrzystości i morszczyzny — chociaż nie widzę harmonii pomiędzy niebem a morzem; morze to bowiem zburzone i zapienione — niebo zaś tylko dżdżyste i zamglone; nawałnicy na niém nie widać.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

*) Na czele tego rodzaju stoi *Calame*, *Aligny*, *Bertin*.

ŻONA I SIOSTRZENICA.

Kilka zarysów z życia potocznego.

1. Loża parterowa.

Godzina siódma się zbliżała — tłumy osób różnego stanu cisnęły się do podwói teatralnych. Stangrety, dorożkarże uwijali się, krzyczeli, wymyślali; dozorcy kijem zwaśnionych godzili i wskazywali miejsca pojazdom. Emilia, młoda mężatka, wysiadła z 16letnią panienką z pojazdu, i wcisnąwszy się w tłum z ostróżnością o ile można, aby nowego beretu i jedwabnéj sukni nie pognieść, dostała się do łoży parterowéj. Tu musnąwszy dłonią w różowéj jedwabnéj rękawiczce ukrytą, pukle spływające z obu stron czoła, zrzuciła salopę na krzesło tak zręcznie, iż szalik wpółprzezroczysty ssunął się po za ramiona i odkrył szyję i alabastrowe piersi. Całą umiejętność zalotnéj kobiety wysiliła dla połączenia piękności natury z wytwornością sztuki. Ładna z urody nie skąpiła niczego, aby pomnożyć blaski swych wdzięków. Na głowie beret lekki i przezroczysty, jak siatka pajęcza mógłby ulecieć z dmuchnięciem, gdyby nie dyamentowa spinka błyszcząca

na czole, za którą wpięte pióro bujało wiatrem, jak jaskółka unosząca się nad wodą. Na wytoczonéj szyj wisiał łańcuszek od emaljowanego zegarka spojony dwoma sercami turkusowemi, a na rękach lśniły się branzoletki bogatémi spinkami ozdobne.

Sztuka już dawno się zaczęła, — na parterze gruppy mężczyzn lornetowały po lożach, a szczególniéj parterowych. Te najdogodniejsze, bo najbliższe, — mogą tam i rozmowy się prowadzić i w oczy zaglądać — tam i słówko łatwo doleci i jeszcze różne inne powody, które je czynią uczęszczanemi od młodych mężatek i starych wyróżowanych wdów.

Ludwika, ile razy oczy ku scenie zwracała, zawsze zarumieniona musiała je spuścić ku ziemi, bo tuż przed nią stały roje natrętników. Nie mogła słuchać cudnéj muzyki Mocarta, któréj tony rajskiemi uczuciami napełniają serce, bo szepty i śmiechy opodal za nadto ją obchodziły.

A Emilia?.... pomyśli kto zapewne, że ona z widoczną radością patrzała na tę zgraję uzbrojoną w szkiełka, że chciwie słuchała pochwał; bynajmniéj: kto daje poznać, że go cieszą oklaski, ten ich więcéj odbierać nie będzie, ale zręczna i dowcipna kobieta przyjmuje pochwały z tém większą obojętnością, im je z większém dawano uniesieniem. Dumna postawą, łagodném czasem wejrzeniem nagradzała wielbicieli. Ale wnet rumieniec żywszy wystąpił na jéj lica, oczy dumnie wzniosła, jakby zabić chciała zjawiających się przeciwników opodal na parterze. Jeden tylko między niemi zajął jéj uwagę: — był to młody człowiek z łagodnym wyrazem twarzy, oczy błękitne pokrywała jakaś mglista posępność. Emilia długo patrzała — musiała jakieś podobieństwo w nim dostrzedz do znajoméj już osoby, któréj pamięć nieprzyjemne i miłe naprzemian sprawiała uczucia; bo gdy Edward (było to imie owego młodego człowieka) spojrzał na nią, zdawało się, że Emilia chciała uniknąć jego wzroku, ale nie śmiała — i oczy ich się spotkały. Długo, długo było, nim młoda mężatka jakby zbudzona dość głośnemi szeptami zwróciła mowę do Ludwiki: »Czy słyszysz panienko,« rzecze jéj z cicha z uśmiechem, w którym się więcéj złośliwości, jak dobroci przebijało, »słyszysz, co tam rozmawiają o tobie na parterze?« — »Ja prosiłam Cioci, żeby nie najmować téj loży, bo istotnie lepiéj na paradyzie, jak tu.« — „Doprawdy? . . . ona mi będzie przestrogi dawać!« rzekła z przegryzkiem Emilia, »nudzi cię może Warszawa, czy milszy Klawikort i nauki księdza proboszcza, lub gadulstwo ekonoma niż opera i towarzystwa w salonach?« — »O zapewne, wolałabym ich nie znać, jakżem na wsi była spokojną! będę prosić stryja, żeby mię odesłał do domu.« — »Szczęśliwéj drogi! proszę mię tylko teraz nie nudzić, ja chcę słuchać.« I zwróciła głowę ku scenie, a dwie łzy świetniejsze jak diamenty na jéj głowie, w oczach Ludwiki zajaśniały. Edward je tylko spostrzegł, Edward pilnie przypatrywał się obudwom, a lubo słów nie dosłyszał - - coś jednak pojął z tych łez, i te dwie łezki jakieś dziwne niewytłumaczone na nim zrobiły wrażenie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Krytyka.

OBRAZ MYŚLI MOJÉJ o celach istnienia człowieka,

przez

FLORYANA BOCHWICA.

Wilno. 1841.

(Dokończenie.)

Widzimy ztąd, że autor śmiało wypowiada, jak pojmuje stósunek filozofii do religii. Jest to głos, jak niegdyś Anzelma, ojca kościoła, gdy mówił: »*negligentiae mihi videtur, si postquam confirmati sumus in fide non studemus, quod credimus, intelligere (trait. cur deus homo.)*«

Wszakże, jeżeliśmy wiarę do płynu winnéj jagody porównali, podobieństwo to i w tém jeszcze jest trafne, że ten płyn zbytnie użyty, upaja. Tak upajającym jest fanatyzm religijny. Nie przypuszczamy go u filozofa, który, jak sam powiada, w zjednoczenie się filozofii z czystą wiarą znalazł bezpieczną opokę (str. 64.), atoli pragnęlibyśmy, aby to zjednoczenie było prawdziwe, aby się w niém znijaczyła wszelka spirytualna tęgość, wstępująca do głowy; ażeby ani wiara filozofii, ani filozofia na odwrót nie była ino służebną wiary. W odpowiedzi na zarzuty ks. Joachima Dębińskiego S. P. »że autor nie pomieścił i nie trzymał się w swoim wykładzie prawdy tyczącéj się wieczności kar, i że odstąpił od nauki o złych duchach« nie widzimy już téj równowagi. Widać tu raczéj wyraźnie, że dogma położone za zasadę, do któréj autor naciągał z filozofii pojęcie dualizmu. Zgodzi się z autorem, kto szedł za jego pomysłami o karze, jako o koniecznym skutku występku i zbrodni, gdy mówi (str. 132.): »występny zatém człowiek za życia, i po śmierci duch jego nieczysty nie dla tego ulega karze, żeby kara miała być miłą i potrzebną dla Boga, ale że duch skażony i buntowniczy prawom Bożym, nie odpowiada niebieskiemu porządkowi i prawdzie;« ale zkąd następujący wniosek? »duch więc taki pychą i nienawiścią dla ludzkości pałający, znajduje odpowiednie miejsce w otchłani dla złych duchów przeznaczonéj.« Zkąd naraz taki antropomorfizm, jakoby Bóg tak karał ludzi po śmierci, jak ludzie ludzi za życia karzą? jakoby urządzał dla nich jakieś otchłanie, niby więzienie Karmelitów, albo miny sybyryjskie? Tu już nie ma owéj harmonii zjednoczenia. Choć tu autor wyraz piekła z wszystkiém tém, co się do tego wyobrażenia łączy, jako niefilozoficzny ominął, to jednak mało na przemianie wyrazu zyskał.

Ale zaledwie ukorzył tu autor czoła przed dogmatem o karach wiecznych i potępieniu, jak Galileusz przed owém sta sol! ukorzył się; zaledwie myśl wolna pojrzała w głąb duszy czystéj, w głąb serca najszlachetniejszą miłością Boga i bliźniego przepełnionego — ten charakter świeci z pism p. Bochwica — a oraz ocknął się w tych głębiach pomysł godzący filozofią z wiarą, pomysł czyniący zaszczyt uczuciom autora, ale pomysł wbrew dogmatowi przeciwny. — Kto się zastanowi, co jest wieczność, a czém w porównaniu do téj wieczności życie człowieka, że nie jest ani tém jeszcze, czém kropla wody w bezdennym oceanie, czém ziarnko piasku do

kuli ziemskiéj, czém chwilka do lat miliona; kto potém karę wieczną z występkiem doczesnym porówna; ten wraz z autorem powie (str. 137.): nie wątpię, że z wyroków sprawiedliwości boskiéj każdy odniesie karę. Ale gdy wieczność obejmuje miliony milionów wieków, i te miliony milionów zawsze są względem wieczności doczesnością, czynię więc wniosek, iż po skończeniu się tego świata, gdy cele teraźniejszéj exystencyi zostaną już dokonane, a ku nowym celom nowe przetworzenie sprawi rewolucyą ziemi i świata; wówczas może potępieńcy, cierpieniami skruszeni, powołani zostaną do zjednania zasług na drodze nowych doświadczeń.« Po takiém wybiciu się na wierzch myśli filozoficznéj, już autor ową otchłań, co (na str. 132.) jako piekło, jako miejsce dla złych duchów przeznaczone wyglądała, zamienia na otchłań wewnętrznych wyrzutów i cierpień »Duchy więc z pamiątkami występnémi, skwapliwe do pychy, nienawiści i pokuszenia, nie mogąc się mieścić w świecie porządku, miłości i sprawiedliwości, same siebie zagłębią w otchłanie cierpień do skruchy doprowadzających« i t. d. (str. 145.)

Autor więc wnioskiem swoim zniósł kary wieczne, piekło zamienił na czyściec. Ale jakże z tém pogodzić nie już dogmat sam o karach wiecznych, ale samo pojęcie autora o karze, »że kara jest to wiadomość wieczna o przestępstwach, bo pamiątki złych czynów wiecznie a wiecznie zostać muszą w wiadomości duchów, bo wiadomość jest powszechnym warunkiem istot duchownych i nieśmiertelnych« (str. 138.)? Bez pomocy jakiéj rzeki Lete trudno by się obyło nowe powołanie duchów, drogą nowych doświadczeń, do szczęśliwości wiecznéj. W tych regionach ducha, co sięgają po za grób, trudno kroczyć o szczudłach samego rozumu.

Ważniejsze dla tego są badania autora o rzeczach naziemskich tegoczesnych. Piękne i trafne są myśli o przeczuciu i natchnieniu. Autor przyjmuje wiedzą pierwotną, bo gdyby jéj wartość, powiada, zostawioną była dowolnemu sądowi ludzkiemu, uwodzonemu zmysłami, błąkającemu się w imaginacyi, żaden sąd nie przetrwałby wieku, a w zdaniach ludzkich nie byłoby żadnego punktu oparcia, zkąd wynikałoby zamieszanie, nie zdolne, ani na jedną chwilę spółeczności w związku i porządku utrzymać. Ta wiedza pierwotna oznajmia się człowiekowi przeczuciem. Są prawdy przeczuwane. Prawdziwe istnienie przeczucia stwierdza daléj autor wyrazem, który się na to w języku znajduje; dowodzi somnambulizmem i powszechném doświadczeniem u ludzi, że jest głos wewnętrzny ducha, który go do dobrego lub do złego skłania i prowadzi (przeczucie i pokuszenie). Okazuje daléj, że sumienie niczém innem nie jest, tylko przeczuciem sprawiedliwości boskiéj, ono sprawia wyrzuty i słodycz wewnętrznego zaspokojenia. W ludziach nadzwyczajnych przeczucie ich przyszłéj missyi od lat dziecinnych najsilniéj się objawia. Przeczucie rzucało w najodleglejszéj starożytności, zarysy wielkich prawd. Przeczuwali ludzie od wieków Boga i nieśmiertelność duszy.

Przewodnikiem do prawdy jest nie tylko przeczucie, ale jest nim w wyższym stopniu natchnienie także. Po tém, co Locke i inne filozofiie o natchnieniu powiedziały, wypowiada autor własne o niém pojęcie: »Lecz działanie rozumu jest zwykle zimne, nieczułe; rozum, z objętnością dwa a dwa dodawszy, kładzie za pewny wypadek cztery, i coraz daléj arytmetycznéj szuka pewności; ale gdy żyjące w człowieku przeczucie pobudza rozum do szukania prawd przeczuwanych i rzuca nań oświecającą iskrę niezawodności domysłu, wówczas rozumowanie zapala się świętym ogniem szlachetnéj ciekawości; wówczas rozumowanie, przywoławszy wszystkie siły imaginacyi, pamięci, wiadomości pierwotnéj i nabytéj, z energią i zapałem unosząc się po nieograniczonéj przestrzeni nieskończoności i wieczności z chyżością lotniejszą od biegu światła, dosięga do prawd Boskich, wiekuistych i nieśmiertelnych; i wedle mojego przekonania wówczas to jest chwila natchnienia w chwili zjednoczenia się przeczucia z rozumem; wówczas duch świętemi prawdami przeczucia zjednoczonego z rozumem przenikniony, na dzieła Boskie zapatruje się okiem Boskiém, przenika zasłonę i tajemnice natury, odgaduje rozrządzenia i wolą Bożą.

Natchnienie nie zawsze objawia się w najwyższéj energii rozumu: są zdarzenia, że dzieci, w niedojrzałości nawet rozumu, bez namysłu i natężenia, z natchnienia, w rachunkach, w muzyce, w poezyi, a często w religii pojmują najzawilsze prawdy; i nie ucząc się, po mistrzowsku w swych tworach prawidła naturalne zachowują. Natchnienie nie jest wypadkiem zimnego rozumowania, ale zawsze jest połączone z uczuciem malującém się na obliczu, i poznawaném w mowie pełnéj życia, wzruszającéj słuchaczów do uczucia. Natchnienie jest momentem, gdy rozum wyzwoliwszy się z wyobrażeń zmysłowych, z uprzedzenia i fantazyi, przeczuciem pobudzony, objawia się samym-sobą, i zbiega się z prawdą przeczuwaną, a z tego zbiegnienia się dwóch tonów duszy, rozumu i przeczucia, rodzi się harmonia łącznego dwóch władz duszy działania, objawiającego Boskie prawdy i niewidome prawa.«

Autor samém pojrzeniem w siebie trafił na prawdziwą analizę natchnienia, tylko nie dosyć jeszcze wytknął stósunek tego objawu ducha do ciała, malującego się przecież, jak sam namienia, na całém obliczu natchnionego człowieka. Autor to nazwał uczuciem. Nie bylibyśmy za takiém nazwaniem. Uczuciem objawia się pod przeważnym wpływem zmysłów, i dla tego duch w niém przebijający się jest ociemniony tą zmysłowością, niewiedny siebie. W natchnieniu zaś duch wyzwala się z wyobrażeń zmysłowych, i jest w pełności wiedzy siebie. Oblicze natchnionego też pół inne, niżeli oblicze będące wyrazem uczucia. Tu widać człowieka, tam jakby Boga; w uczuciu zmysłowość jaśnieje, w natchnieniu blask ducha poświetla; zda się że duch nad powierzchnią czoła wystąpił, i oblał całe ciało, i z wszystkich porów jego wyziera; dla tego i słowa natchnienia tak silne, pokonywające, bo duch całym sobą na nich się unosi. Co zaś zdziaływa to wystąpienie ducha na zewnątrz, to owładnienie przeżeń ciała? — Tu czujemy brak systemu, aby na to pytanie w myśl autora odpowiedzieć, bo nam nie wyłożony stósunek ducha człowieczego do ducha nieskończonego, do Boga.

Idąc w myśl języka naszego, uważamy, że natchnieniem nazywano tchnienie ducha nieskończonego na ducha zamknionego w ciele, czyli zstąpienie ducha na człowieka. Czekać natchnienia jest to czekać téj chwili, kiedy światło ducha zstąpi na nas. Skutkiem tego wyższego, nadprzyrodzonego światła jest owe promienienie się oblicza blaskiem nadziemskim. Gdyby autor to pojęcie z wiary i z języka, a zatém z narodowości polskiéj wzięte, położył za zasadę badań swoich o natchnieniu, byłby musiał przyjąć zgodnie z przedmiotowością Boga, przedmiotowość nieskończonéj mądrości jego, ową wiedzę pierwotną, wszystko i nieskończenie więcéj w sobie mieszczącą, cokolwiek człowiek już odkrył, pojął i jeszcze odkryje i pojmie. Ale ta wiedza jest tylko w Bogu; człowiek zaś tchnienie Boga z materyą, a zatém cząstka mądrości jego z ciałem związana, przez tę materyą przejrzeć czysto nie może tą pierwotną mądrością swoją, ale stopniami ją rozwija, będąc budzonym, zażeganym ciekawością ducha. Przeczucia byłyby błyski niepochwytne owéj wiedzy pierwotnéj przedmiotowéj, a jasne pochwycenie jednego pomysłu z onéj wiedzy, czyli zjednoczenie przeczucia z rozumem według p. Bochwica, czyli zstąpienie światła i ducha przedmiotowego na człowieka, według sposobu mówienia językowego, chwilą zwycięztwa ducha nad ciałem, chwilą blasku ducha stłumiejącego blask zmysłów, chwilą natchnienia.

Analiza p. Bochwica za natchnieniem ma mimo bystrości pojęcia i to jeszcze szczególnego, że zupełnie jest idealna, i wychodzi nawet z po za kolorytu, który pomysłom autora nadawała harmonia wiary i filozofii. Tu on sposobem Kanta spojrzał w siebie, myślą myśl rozebrał i we wnętrzu ducha chemiczny odbył proces rozkładu i składu pierwiastków natchnienia. Musimy i to położyć na karb braku systematyczności filozoficznych badań, tak zresztą o bystro pojętych, tak jasno i do przekonania wyłożonych. Zwracam tu w końcu uwagę czytelnika na rozwinięte myśli o historyi filozofii (st. 67.), o jedności pojęcia logiki, rachunku i czasu. (str. 68.) *Libelt.*

Redaktor: *A. Woykowski.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*